

KAROLINA DZIMIRA-ZARZYCKA

# SAMOTNICA

DWA ŻYCIA

MARII DULĘBIANKI

MARGINESY

Copyright © by Karolina Dzimira-Zarzycka  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

*Kubie*

*Może właśnie ta przyjaźń, prawie że zabiwszy ma-  
larkę w Dulębiance, społeczniczkę w niej zbudziła?*

*Maria Jaworska, Maria Dulębianka*

*Nie zrywajcie się z miejsc. Nie czerwieńcie się. We  
własnym gronie możemy chyba pozwolić sobie na to,  
by przyznać, że takie rzeczy czasem się zdarzają.  
Tak, czasem kobieta lubi drugą kobietę.*

*Virginia Woolf, Własny pokój*

\* \* \*

„Podczas inwazji bolszewickiej nie wiem, kto ośmielił się otworzyć grób Marii Konopnickiej i wstawić tam zwłoki zmarłej M. Dulębianki. O fakcie tym dowiedziałam się w rok później, więc zapobiec mu nie było można”<sup>\*</sup> – pisała w lipcu 1924 roku zbulwersowana Laura Pytlińska, córka poetki. Do redakcji „Kurier Warszawski” zwracała się „w imieniu pozostałego rodzeństwa i swoim”.

Dziwne to oburzenie.

Przecież Dulębianka była powszechnie szanowaną postacią, której zasług nikt nie zapomniiał. Niedawno nazwano jej nazwiskiem jedną z lwowskich ulic.

Przecież gdy umierała, na przedpolach Lwowa cały czas toczyły się walki. W oblężonym mieście trudno było pewnie myśleć o odpowiednim pochówku. Zresztą trumnę Konopnickiej także początkowo złożono prowizorycznie w cudzym grobowcu.

Przecież Laura wiedziała, że Konopnicka i Dulębianka żyły razem dwadzieścia lat: wspólnie podróżowały, spędzały święta, zamieszkały w Żarnowcu.

Przecież malarka stała się właściwie częścią rodziny. Brała udział w zjazdach rodzinnych Konopnickich, a matka większość listów do dzieci kończyła pozdrowieniami od przyjaciółki.

\* We wszystkich cytowanych źródłach uwspółcześniając ortografię i interpunkcję, poprawiam też ewentualne różnice w zapisie nazwisk (np. pisownię „Dulembianka”).

Przecież na rok przed śmiercią schorowana poetka pisała do Zofii, drugiej córki: „Opatrznością moją jest Dulębianka, która wszystko zarzuciła i czuwa nade mną – i za mnie się po domu krząta. Sypia też na sofce w moim pokoju i na każdy mój ruch – zaraz jest na nogach. Pamiętajcie jej to, dzieci drogie!”.

Z biegiem czasu więź między Dulębianką a Konopnicką stawała się dla potomnych coraz bardziej kłopotliwa.

Warszawa roku 1889, gdy Marie się poznały, to był jeszcze inny świat.

CZĘŚĆ I

MAŃCIA W KRAKOWIE

#### PEWNA RUBRYKA

Wąski plac targowy rozciągający się tuż za kościołem Mariackim to miejsce w sam raz na inwestycję dla obrotnego krakowskiego kupca. Dwie wąziutkie kamienice we wschodniej pierzei nabył tam Jakub Barber, później znany pod nazwiskiem Barberowski. Adres: Mały Rynek 2 i 3\*. Do jednego z mieszkań wprowadził się z rodziną, resztę wynajął, a w przyziemiu otworzył sklep z towarami kolonialnymi.

Czego tam nie było! Czekolada z czystego kakao i cukru produkowana w fabryce parowej w Trieście. Herbata chińska, ale też rosyjska karawanowa, czyli przewożona łądem (podobno smaczniejsza, bo mniej narażona na kontakt z morską wilgocią). Wyszukane delikatesy, najlepsza nicejska oliwa, sprowadzane prosto z Budapesztu drożdże. Do tego skrzynie pełne najróżniejszych alkoholi: rum, porter angielski, piwo Bock, „wyborne zagraniczne wina w oryginalnych butelkach po oryginalnych cenach”, jak reklamowano. Później pojawia się jeszcze farby, lakiery, szczotki i cement portlandzki.

Jedno z mieszkań w kamienicy pod numerem 2 zajmowała rodzina Dulębów. Może gdy klient uchylał drzwi prowadzące do sklepu, do ich okien dochodził ciężki zapach korzennych przypraw zmieszany z aromatem kawowych ziaren i herbacianych liści. A może podmuch wiatru przynosił raczej kłęby dymu tytoniowego, opary alkoholu, pokrzykiwania przekupek i stukot kufi z piwem. Kupiec dobrze bowiem

\* Przed reformą porządkującą numerację i nazewnictwo ulic, przeprowadzoną w 1884 roku, funkcjonowały pod numerami hipotecznymi 425 i 426.





Mały Rynek w Krakowie, rok 1933. Po lewej widoczne wąskie kamieniczki nr 2 i 3, pod koniec XIX wieku należące do Jakuba Barbera

wiedział, gdzie ludzie zostawiają najwięcej pieniędzy – i w drugim lokalu otworzył szynk „U Barbera”.

Barber vel Barberowski prowadził swój sklep od początku lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Interes się kręcił. Przewodnik po Krakowie z satyrycznego kalendarza na rok 1893 roku zachwalał:

„U Barberowskiego ludu takie masy,  
Że trudno się czasem docisnąć do kasy,  
Bo nie tylko biedny lud, ale i panie  
Tam się cisną chętnie, gdzie towary tanie,  
Toteż Barberowski konkurentów pobił,  
I choć tanio daje, grosza się dorobił”.

Jesienią 1858 roku w kamienicy przy Małym Rynku pojawiła się nowa lokatorka. U Dulębów przyszło na świat piąte dziecko. Nadali jej imię Maria, po matce.

Tak mogłaby się zaczynać biografia Dulębianki. Naprawdę tak to sobie przez chwilę wyobrażałam – dopóki nie zobaczyłam aktu chrztu

małej Marii. A potem nazwisk jej rodziców w księdze małżeństw. Z 1859 roku. I okazało się, że nic się nie zgadza.

To prawda, Dulębowie przez pewien czas mieszkali w kamienicy Barbera, tylko nieco później. Zmylił mnie krakowski spis ludności z 1870 roku, który zastał ich już przy Małym Rynku.

Rzeczywiście mogli więc wdychać zapachy płynące ze sklepu kolonialnego. Po latach Dulębianka opisze nawet to miejsce w nowelce *Mańka*: „był to szynk po prostu – stara, dawna, całą tradycję mająca za sobą firma”, gdzie trudno się było prześlizgnąć „pośród ciżby dzień i noc uczęszczających tu biesiadników”.

Dulębianka nie przy Małym Rynku się jednak urodziła i nie tam stawiała pierwsze kroki. Zbiegała raczej pędem po wąskich schodach, żeby nie spóźnić się na lekcje.

Zacznijmy jeszcze raz.

Maria Magdalena Barbara Karolina przychodzi na świat 21 listopada 1858 roku w Krakowie, w kamienicy numer 21 (obecnie 11) przy Rynku Głównym. Cztery dni później rodzice zanoszą ją do kościoła Mariackiego, gdzie zostanie ochrzczona w obecności parafialnych zebraków, Józefa Skrzyszowskiego i Apolonii Krzywdzińskiej.

Wszystko zapisano po łacinie dość starannym, trochę zawijasowym pismem w kościelnych księgach. W wąskich rubryczkach odhaczono kreską odpowiednie wyznanie, płeć i pochodzenie: *illegitimi thori*. Z nieprawego łoża.

Ojciec: Henryk Dulęba. Matka: Maria z Wyzzałkowskich Skibowa.  
Pod spodem dopisek: wdowa.

#### JEDEN HENRYK, DWIE RODZINY

Henryk został wtedy rodzicem właściwie nie piąty, ale dziewiąty raz. Sam urodził się w 1813 roku w małopolskich Wielogłowach, jako syn Karoliny z Wyzkowskich – Dulębianka odziedziczy więc czwarte imię po babce – i Józefa Dulęby. Jego ojciec posiadał w okolicy więcej dóbr, ale rodzinny majątek topniał w oczach. Dulębowie herbu Alabanda z roku na rok ubożeli.



Różnie potoczyły się losy dzieci, które nie mogły liczyć na ojcowiznę. Najstarszy Włodzimierz wyjechał na studia prawnicze do Wiednia, a potem otworzył we Lwowie kancelarię notarialną. Waleria i Elżbieta znalazły mężów w sąsiedztwie. Najmłodszy Cyprian wzenił się w baronowski ród z Turynii i osiadł pod Rybnikiem.

Ojciec Dulębianki pierwszą rodzinę założył w pobliskim Nowym Sączu, mając raptem dwadzieścia lat. W listopadzie 1833 roku ożenił się z Teklą Kabath, córką miejscowego starosty, prawdopodobnie Czecha z pochodzenia. Już trzy tygodnie później urodził im się syn, Franciszek. Zagadką pozostaje, dlaczego tak długo zwlekali ze ślubem. Co kilka lat pojawiały się kolejne dzieci: w 1837 roku Mieczysław (zmarł po kilku miesiącach), potem w 1842 Józef i rok później Karolina.

Pierworodny syn Dulęby z nowego związku, Henryk junior, urodził się w 1850 roku w Krakowie. Co się wydarzyło w ciągu tych siedmiu lat? Czy Henryk senior opuścił Teklę i wyjechał, czy cała rodzina wyprowadziła się z Nowego Sącza i dopiero wtedy małżeństwo się rozpadło – nie wiadomo.

Być może prawdziwa jest druga wersja. Józef, przyrodni brat Dulębianki, zostanie obiecującym pianistą. Zachowała się informacja, że już w wieku siedmiu lat zaczął pobierać lekcje u Franciszka Hollmanna, krakowskiego nauczyciela muzyki i właściciela składu fortepianów. „Dulęba okazywał tak wielkie zdolności i zamiłowanie do muzyki, że rodzice w tym kierunku kazali go kształcić” – napisze w 1867 roku „Tygodnik Ilustrowany”.

Co najmniej od 1849 roku musieliby więc mieszkać w Krakowie.

Henryk mógł jednak poznać matkę Dulębianki jeszcze w rodzinnych stronach, przed przeprowadzką do Krakowa. Pochodziła bowiem z Falkowej pod Nowym Sączem.

Choć w akcie ślubu figuruje jako Joanna Władysława, w innych dokumentach konsekwentnie podaje: Maria. Tak mówią do niej bliscy, taka wersja zostanie wryta na jej paryskim nagrobku, to imię nada córkom: starszej Annie na drugie i młodszej Marii na pierwsze. Do czeka się nawet dwóch wnuczek o tym imieniu.

Urodziła się około 1820 roku jako córka Joanny z Pawłowskich i Piotra Wyczałkowskiego, dzierżawcy Falkowej. Wiele lat później, gdy gazety będą informowały o jej śmierci, przekreślą jej panięskie nazwisko na Wyczółkowska. Ale w tym przypadku akta są zgodne – nie ma wątpliwości, zamiast „ó” było „a”.

Tyle wiemy z zapisków w księgach metrykalnych. I tyle musiałyby nam wystarczyć – gdyby nie Konopnicka. Z listów poetki wyłania się obraz kobiety silnie związanej z córką imienniczką, niezłe wykształconej i mającej spore poczucie humoru.

„Stara pani Dulębina napisała strofę wierszami” – wspomina Konopnicka dzieciom, relacjonując, kto nadesłał jej życzenia świąteczne, gdy grudzień 1891 roku spędzała sama w Mediolanie. Dulębianka pomieszkiwała wtedy z matką.

„Miała ona w życiu tę przygodę, że się, będąc małą dziewczynką, pokłóciła z siostrą i chciała się topić, ale przedtem napisała wiersz, który się tak zaczynał: »Przez mą siostrę życie tracę. / Ale ja się tu powrócę. / A gdy na wierzch wypłynę, / któż nie zgadnie tę przyczynę?« – Otóż tym wierszem prześladowałyśmy ją nieraz. Więc teraz napisała tak: »Serce się moje rwie do życzenia. / Lecz by je wyrazić próżne to marzenia. / Więc gdy tu z tęsknoty ginę, / któż mi zgadnie tę przyczynę?« – Ano cóż robić, talent dziedziczny, stryjeczna czy cioteczna siostra Kornela Ujejskiego”.

Nie jest jasne, w jakim stopniu Wyczałkowscy byli spokrewnieni z tym poetą romantycznym. Jedyne trop, na jaki natrafiłam, to *Perły boleści* Ujejskiego, opublikowane w styczniu 1898 roku przez tygodnik „Życie” z dopiskiem: „Wiersz powyższy, niedrukowany dotychczas, został Redakcji uprzejmie udzielony przez p. dr A. Wyczółkowską”, czyli siostrę Dulębianki.

Prawdopodobnie rodzina przechowywała więc autograf słynnego krewnego albo odpis wiersza (który w rzeczywistości ukazał się już przed laty w tomiku *Zwiędłe liście*). Może pół wieku wcześniej młody poeta wpisał go do sztambucha miłej kuzynki? Nie wiadomo.

Tajemnicą pozostaje także, kim był Skiba, pierwszy mąż Wyczałkowskiej.

W lipcu 1850 roku według aktu chrztu Henryka juniora Maria jest już wdową i mieszka z Dulębą w Krakowie – w tym samym miejscu, gdzie przyjdzie na świat Dulębianka. Wynajmują mieszkanie na rogu Rynku Głównego, u wylotu ulicy Grodzkiej. Kamienica ma wdzięczną nazwę: Dom Wenecki. „Według podań dom ten należał do posłów weneckich, w dziedzińcu tego domu zwraca uwagę starożytna rzeźba herbu Wenecji” – objaśniał w 1878 roku autor *Wykazu ulic, placów, kościołów i domów miasta Krakowa*.

W następnych latach rodzina powiększy się o Władysława (1851), Annę (1853), Adolfa (1857) i wreszcie Marię (1858). Najmłodszy Feliks urodzi się w 1862 roku. Jedyne ślubny.

Rodzice Dulębianki pobiorą się dopiero 4 maja 1859 roku w kościele Mariackim.

Przez dekadę żyją więc w nieformalnym związku i wcale tego nie ukrywają – wszak w tym czasie Maria pięciokrotnie zachodzi w ciążę. Nietypowa historia.

Wydaje się, że poza tym Dulębowie byli zwyczajną rodziną, dobrze osadzoną w galicyjskim środowisku. Dzieci otrzymały świetne wykształcenie, rodzice dbali o rozwój ich talentów, posłali na zagraniczne studia. Początkowo Marii i Henrykowi brakowało tylko (właściwych) obrączek na palcach. Otoczenie musiało, przynajmniej w pewnym stopniu, tolerować faktyczny rozpad pierwszego małżeństwa Dulęby i jego związek z młodszą od niego wdową.

Jak to się mogło stać? Nie mówimy o wielkiej metropolii, w której para próbowałaby się odciąć od przeszłości, licząc na to, że nikt nie będzie wnikał w ich sytuację rodzinną. Przed plotkami nie chroniły ich też wielkie fortuny ani arystokratyczna pozycja.

Pytam o to badaczki specjalizujące się w historii społecznej dziewiętnastego wieku. Są zgodne: to wyjątkowy przypadek. Właściwie trudno przywołać podobny.

Nie ma jednak mowy o pomyłce. Data w akcie ślubu nie budzi wątpliwości. W księgach metrykalnych Maria określana jest jako wdowa

po Skibie, a nie małżonka Dulęby. Dzieci trzymają do chrztu tak zwani dziadowie kościelni, żebracy pełniący w parafii różne pomocnicze funkcje. Jak mówi mi Aneta Bołdyrew, profesorka Uniwersytetu Łódzkiego, w przypadku dzieci „nieprawego pochodzenia” była to częsta praktyka.

Badaczka widzi w sprawie Dulębów dowód, że ówczesne obyczaje wcale nie musiały być tak purytańskie, jak się zazwyczaj przypuszcza. W Europie dopiero zaczynały się wtedy kształtować mieszczańskie ideały, wiktoriańska moralność czy kult czystości, które wyraźnie umocniły się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. W latach czterdziestych czy pięćdziesiątych klimat nie był jeszcze tak konserwatywny.

Monika Piotrowska-Marchewa, historyczka z Uniwersytetu Wrocławskiego, zwraca mi z kolei uwagę na wdowieństwo Marii. Panna z kilkorgiem nieślubnych dzieci bez wątpienia budziłaby większe społeczne oburzenie. W przypadku wdowy wymogi obyczajowe były zapewne mniej rygorystyczne. Odziedziczony majątek mógł jej dawać pewną niezależność finansową, a małżeńska przeszłość zdejmowała z niej presję panieńskiej „czystości”.

Jedno jest pewne: rodzice Dulębianki przez lata tkwili w patowej sytuacji.

Henryk nie mógł się rozwieść z Teklą. Kościelne unieważnienie małżeństwa było skomplikowane, kosztowne i możliwe do przeprowadzenia tylko w określonych warunkach. Tak naprawdę ślubne więzy katolików w Austrii rozwiązywała dopiero śmierć współmałżonka. W zaborze rosyjskim pewną furtkę stanowiła zmiana wyznania – niezradką praktyką było przechodzenie przed rozwodem na protestantyzm, którego wyznawców obowiązywały bardziej liberalne przepisy.

Gdy więc 17 lutego 1859 roku w Nowym Sączu Tekla umiera, Henryk odczekuje dwa i pół miesiąca w żałobie – i bierze ślub z Marią.

Zgodnie z austriackim kodeksem cywilnym dziecko nieślubne nie miało prawa ani do nazwiska ojca, ani do szlachectwa czy herbu. Jeśli jednak jego rodzice zawarli później małżeństwo, nabywało formalnie wszelkie prawa legalnego potomka. Mogło nawet wnioskować o naniesienie odpowiedniej korekty w księdze chrztu.

To tłumaczy, dlaczego ów stygmatyzujący dopisek „z nieprawego łoża” – i wszelkie prawne konsekwencje z nim związane – nie ciążyły nad późniejszym życiem ani Dulębianki, ani jej rodzeństwa.

#### OD DIABEŁKA DO TEATRU

Finanse Dulębów nie były chyba w tak bardzo opłakanym stanie, skoro Henryk należał do krakowskich bon vivantów i przesiadywał w Starej Resursie, popularnym miejscu spotkań towarzyskich. W księgach metrykalnych figuruje jako „obywatel ziemski”. Czyżby jednak odziedziczył skrawek rodzinnego majątku pod Nowym Sączem?

Na fotografii, którą zrobił sobie zapewne w atelier Walerego Rzewuskiego, wygląda poważnie: dość szczupły, lekko łysiejący, z sumiastym wąsem. Wydaje się nieco spięty, nie rozsiadł się wygodnie na krześle. Trudno się domyślić, że namiętnie grywa w karty.

Najchętniej w diabełka, inaczej lancknechta.

„A nie ma jak diabełek!... to jest gra nad gry wszystkie; bo to w niej można prędko i zgrać się i przyjaciela ograć, a co najwięcej, w diabełku popłaca zgrabność, która stała się dzisiaj sztuką wyzwoloną. [...] Twarze graczy są na pozór obojętne, bo od tego jest dobre wychowanie, by się na twarz nie dostał żaden wyraz chciwości trawiącej ich duszy” – przekonywał autor powieści w odcinkach drukowanej w „Dzienniku Mód Paryskich”, wyraźnie potępiający salonową (i hazardową) modę.

Henryk ma do diabełkowania stałe grono kompanów, ale to żadne szemrane towarzystwo – to znani bywalcy krakowskich salonów. Prym wiodą wśród nich bracia Adam i Leon Skorupkowie. Wiele czasu spędzili w Paryżu, skąd przywieźli do Krakowa modne zwyczaje i ogólną ogładę. Wyróżnia się szczególnie Adam: kobieciarz, dusza towarzystwa, znany z ciętego dowcipu, sypiący anegdotami i bon motami jak z rękawa. Nosi w sobie, jak pisano u schyłku dziewiętnastego wieku, wszelkie „zalety i wady szlacheckie”.

Wbrew pozorom na coś się ta karciana znajomość przydała. Adam Skorupka zatrudnił Henryka w krakowskim teatrze, nad którym kierownictwo objął latem 1865 roku. Dulęba został prawą ręką





*Henryk Dulęba*

Henryk Dulęba, ojciec Marii

dyrektora – sekretarzem czuwającym nad sprawami organizacyjnymi. Do gmachu przy placu Szczepańskim miał kilka minut piechotę.

Pod rządami Skorupki i kierownika artystycznego Stanisława Koźmiana teatr zmienia się nie do poznania. Liche melodramaty zastępują nieśmiertelna klasyka i najcelniejsze utwory współczesne. Na scenę Skorupka zaprasza znane już krakowskiej publiczności talenty, z Antoniną Hoffmann na czele. Sprowadza też wschodzące gwiazdy, w tym tę najjaśniejszą: Helenę Modrzejewską, dla której Kraków okaże się tylko przystankiem w drodze do Ameryki. A pozycja towarzyska dyrektora przyciąga zainteresowanie (i pieniądze) wyższych sfer.

Pełne ręce roboty ma też pewnie sekretarz Dulęba, bo odświeżenie wymaga nie tylko repertuar, ale i meble, dekoracje czy wnętrza teatralnego gmachu. Poza splendorem teatr to jednak także zakulisowe – w tym przypadku dosłownie – intrygi, rywalizacja w zespole aktorskim, świecąca pustkami kasa. Henryk wdaje się czasem w ostre polemiki prasowe, broniąc decyzji dyrekcji. A i sprawy organizacyjne mają niekiedy niezbyt chlubne aspekty.

Na przykład ten incydent z klaką podczas spektaklu, w którym występowały obok siebie Hoffmann i Modrzejewska. Dulęba „rozdawał gratis bilety (80 sztuk) pod warunkiem, aby klaskano tylko pannie Hoffmann. Wieczorem sprowadzono z ogrodów bukiety i wieńce laurowe przeznaczone na uwieńczenie panny Hoffmann” – ujawniał w czerwcu 1872 roku „Przegląd Tygodniowy”. Sekretarz własnoręcznie przywiązywał do nich karteczki z odpowiednim nazwiskiem. „Klakierów rozsadzono [...] po łóżach, krzesłach, galerii i parterze z zastrzeżeniem, aby po akcie drugim wywołali pannę Hoffmann i zarzucili ją bukietami”. Modrzejewska, która była już wówczas aktorką teatru warszawskiego, mocno naraziła się dyrekcji zerwaniem kontraktu. Trzeba było więc zyskać pewność, że nie przyćmi krakowskiej gwiazdy.

Co zrobić, taka rola dyrektorskiego współpracownika. Dulęba – sekretarz „zdolny do tajnych poruczeń”, jak pisała gazeta – dobrze radzi sobie w podobnych sytuacjach. Skorupka miał podobno wyjątkową intuicję do ludzi.

W listopadzie 1872 roku krakowski korespondent „Gazety Warszawskiej” pożegna Henryka taką notką: „znany sekretarz dyrekcji, który nie zawsze odznaczał się taktem w postępowaniu, p. Dulęba, nie piastuje już tego urzędu i usunął się od teatru”.

Gdy Henryk diabełkuje lub sekretarzuje, Maria Dulębina krząta się po mieszkaniu nad sklepem Barbera. Z sześciorgiem dzieci zawsze jest w co ręce włożyć. Jak wynika ze spisu ludności, do pomocy ma przynajmniej kucharkę, Salomeę Zadecką, która mieszka w służbówce z córką Wiktorią. I na zakupy blisko, bo Mały Rynek zastawiony jest straganami.

U Dulębów sporo się muzykuje.

„Umiłowaną sztuką Dulębianki była muzyka (grała także na skrzypcach), lecz w rodzinie jej tak wszyscy grali, że autorytet rodzinny kierował jej artystyczne popędy ku malarstwu” – napisze w 1909 roku na łamach „Bluszczu” Zofia Strzetelska-Grynbergowa, przyjaciółka Marii z późniejszych czasów.

Nikt nie może się równać z jej przyrodnim bratem.

#### POJEDYNEK W PIEKIEŁKU

Właśnie, Józef. Może po ojcu odziedziczył gwałtowny charakter?

Zaczyna fantastycznie. Od małego wyczynia cuda przy fortepianie, czym zwraca uwagę rodziny i nauczycieli. „W czternastym roku życia wystąpił po raz pierwszy z koncertem, wzbudziwszy ogólne podziwienie” – przypominał w 1867 roku w „Tygodniku Ilustrowanym” dramaturg i recenzent, a prywatnie przyjaciel Józefa, Edward Lubowski. Jego brat, pianista Józef Lubowski, dawał lekcje młodemu Dulębie.

W 1858 roku szesnastoletni Józef jedzie do Paryża, by rozpocząć studia w konserwatorium. „Bawił tam lat dwa, a powróciwszy dla interesów rodzinnych rychłej, aniżeli zamierzał, osiadł stale w stronach rodzinnych”.

Nagłące sprawy rodzinne pozostają tajemnicą, ale zbiega się to w czasie ze śmiercią Tekli. Być może Józefa sprowadza do domu choroba matki lub troska o młodszą siostrę, Karolinę. Wiadomo, że



Pianista Józef Dulęba, przyrodni brat Marii

w czerwcu 1859 roku, miesiąc po drugim ślubie Henryka, ona także wychodzi za mąż. Gdy staje na ślubnym kobiercu z kawalerem z Nowego Sącza, ma zaledwie szesnaście lat.

Po powrocie Dulęba daje w Krakowie koncert za koncertem, gościnnie występuje też na lwowskich scenach. Po sukcesie w Galicji przychodzi czas na Warszawę, gdzie przenosi się na stałe w 1867 roku. Gra utwory Beethovena, Bacha, Chopina, Liszta. Czasem występuje w duecie z innym pianistą, skrzypkiem lub śpiewakiem operowym. Po każdym wystąpieniu wsłuchuje się w burzę oklasków i przychyła do prośb publiczności, by zagrał jeszcze bis. Gazety zgodnie wróżą mu świetlaną przyszłość.

Dulęba łączy doskonale opanowaną technikę z głębokim uczuciem. Do tego zachowuje się już jak rasowy artysta, a na jego twarzy nie widać podczas gry „najmniejszego natężenia” – zachwyca się w 1866 roku recenzent krakowskiego „Czasu”. Sam spokój, wdzięk i elegancja.

Tylko wąsy i okazałe bokobrody nadają mu wygląd starszego. Może się o tym zresztą przekonać każdy czytelnik „Tygodnika Ilustrowanego” – obok artykułu Lubowskiego zamieszczono elegancki medalion z wykonaną na podstawie fotografii podobizną Dulęby. Józef ma dwadzieścia pięć lat, gdy jego portret trafia na łamy najważniejszego czasopisma kulturalnego w Królestwie Polskim.

Dwa lata później, wiosną 1869 roku, Warszawą wstrząsa wieść o tragicznym pojedynku, a potem śmierci Dulęby. Jeszcze latem odbędzie się głośny proces w tej sprawie, szeroko opisywany w prasie, dzięki czemu znamy szczegóły zajścia.

Kwietniowy wieczór w jednej z warszawskich restauracji. Przy stole siedzi kilku młodych mężczyzn. Józef Dulęba rozmawia ścisłym głosem ze znajomym, buchalterem Stanisławem Kaczkowskim. Ten tłumaczy pianiście, że zgodnie z obietnicą starał się dla niego o zaproszenie do domu lekarza B., ale nic z tego nie wyszło.

„Ton czy też słowa użyte przez Kaczkowskiego, przy powtórzeniu tej odpowiedzi, nie podobały się Dulębie” – donosił „Kurier Warszawski”.

Józef zrywa się z miejsca i w emocjach głośno rzuca kilka ostrych słów. W ruch idą pięści. Kaczkowski nie pozostaje dłużny i ciska w przeciwnika szklanką. Śledztwo nie wyjaśnia, kto pierwszy zażądał pojedynku, ale to chyba Józef sam sprowadził na siebie nieszczęście. Zdaje się, że czuł się winny i niejako sprowokował Kaczkowskiego do załatwienia sprawy „honorowo”.

Lubowski starał się przemówić do rozsądku znanemu z „gwałtownego charakteru” przyjacielowi. „Był to człowiek z ognistą, artystyczną duszą, zdolną do chwilowych uniesień szalonej namiętności” – powie obrońca Kaczkowskiego.

Również sekundanci starali się za wszelką cenę nie dopuścić do pojedynku. Jako dodatkowych rozjemców zapraszają przyjaciół Dulęby: wiolonczelistę Adama Hermana i Teodora Witkowskiego. Odwlekają konfrontację i mnożą problemy. Skąd na przykład wziąć pistolety? Zniecierpliwiony Dulęba sam zdobywa broń. Ma w końcu stopień oficera, do tego brał udział w powstaniu styczniowym i wykazał się w bitwie pod Kockiem.

Nie da się jednak dłużej zwlekać. Po pięciu tygodniach ustalają wreszcie termin i miejsce: 11 maja, godzina szósta, lasek w podwarszawskiej wsi Piekiełko.

Skoro nie można odwołać pojedynku, sekundanci przeszkodzą przynajmniej przeciwnikom w zrobieniu sobie krzywdy. Ustalają największy możliwy dystans: dwadzieścia pięć kroków. Wybierają spośród siebie najwyższego, by to on odmierzył odległość. Zdejmują z pistoletów wizjery, by utrudnić celowanie. Broń nabijają okrągłymi kulami, które w razie zranienia czynią mniej uszkodzeń niż zaostrzone naboje stożkowe. Ustalają, że można oddać tylko jeden strzał.

Nawet gdy Dulęba i Kaczkowski losują już pistolety, przyjaciele cały czas nakłaniają, proszą, błagają, by się pogodzili. Wszystko na nic. Padają strzały.

Kaczkowski trafia Dulębę w lewe ramię.

Obecny na miejscu młody lekarz Karol Benni od razu wyciąga kulę i opatruje ranę. Józef przeprosza przeciwnika i podaje mu rękę. Wezwany na konsultację doświadczony chirurg Hipolit Korzeniowski potwierdza, że pocisk nie naruszył kości, a rana jest powierzchowna.

Miał szczęście.

Miałby szczęście. Gdyby nie początki gruźlicy.

Po kilku dniach Korzeniowski zauważa pierwsze oznaki stanu zapalnego. Józef przyznaje, że od jakiegoś czasu meczą go częste napady kaszlu i ogólne zmęczenie. Kilka razy pluł już krwią. Nie ma się co oszukiwać, w dziesiętnastym wieku każdy zna te objawy: to suchoty. A Dulęba do tego wcale o siebie nie dba.

W ranę wdaje się zakażenie, konieczna jest operacja w szpitalu Świętego Ducha. Stan Józefa dalej się jednak pogarsza.

Gdyby nie gruźlica, najpewniej by wyzdrowiał. Fakt ten – obok prób pogodzenia obu stron – stanie się zresztą główną linią obrony podczas procesu. Skutecznie: Kaczkowski zostanie skazany na półtora miesiąca osadzenia w więzi, a sekundanci uniewinnieni.

Dulęba umiera po trzech tygodniach cierpień, 1 czerwca 1869 roku.

„Tygodnik Ilustrowany” – może piórem Lubowskiego – wspomni, że jednał sobie przyjaciół szczerością i „wesołością niewymuszoną”, zawsze skory do pomocy, szczególnie dla kolegów muzyków. „Nigdy nie słyszeliśmy go odzywającego się o innych artystach z zawiścią [...]. Wygłaszał swoje zdanie szczerze, ale bezstronnie, entuzjazmując się dla każdego wielkiego talentu”.

„Artyści muzyczni nieśli na ramionach zmarłego kolegę, od kościoła aż na sam cmentarz, a poważne tony żałobnej muzyki unosiły się w powietrzu, towarzysząc temu, co sztukę ukochał nad wszystko” – relacjonował „Kurier Warszawski”.

Gdy kondukt dotarł na rogatki, chór i orkiestra odegrały marsz żałobny Tomasza Nideckiego. Na koniec, nad otwartą mogiłą, pożegnano Dulębę utworami współczesnych warszawskich kompozytorów, Adama Münchheimera i Wilhelma Troszla (Troschla). Z tym pierwszym Dulęba jeszcze w marcu grał wspólny koncert.

Maria miała w tym czasie jedenaście lat. Czy mocno przeżyła jego śmierć? Trudno powiedzieć, jak układały się relacje w rozległej rodzinie Dulębów i czy przyrodnie rodzeństwo miało ze sobą bliski kontakt. Ale gdy karierę muzyczną zacznie Anna, gazety często będą przypominały o jej pokrewieństwie z Józefem.

#### MAŃCIA I ANDZIA

Maria i Anna, jedyne siostry wśród sześciorga dzieci Dulębów.

„Droga Mańciu” – będzie zaczynała swoje listy Anna. Dulębianka w zapiskach, które zacznie prowadzić po śmierci Konopnickiej, nie wspomni siostry inaczej niż „Andzia”.

Dzieliło je pięć lat. Pewnie na początku zdawało im się, że to wiele, z czasem różnica się zatarła. Choć nawet gdy dorosną, Anna będzie strofowała młodszą siostrzyczkę za zbyt ryzykowne jej zdaniem rozrywki. Nawet listownie i zza oceanu.

„Jak można sobie pozwalać na tego rodzaju przyjemności, które niebezpieczeństwo przedstawiają dla najzręczniejszego młokosa. Czyż piękności natury nie wystarczają Ci wśród gór, tylko szukasz ekscytacji,

o których gdy pomyślę, lży się cisną do ocz[ui]. Nie robiłaś tego dawniej i dziś zaczynasz. Nieroztropność niezrozumiała u człowieka Twojej inteligencji” – napisze Andzia z Chicagu w 1911 roku.

Tajemnicą pozostanie, co takiego wyrabiała w Zakopanem pięćdziesięcioletnia Dulębianka. Próbowwała wspinaczki? Zawsze lubiła ruch i nowe wyzwania. Anna do końca pozostaje tą starszą, rozważniejszą. Nawet pismo ma bardziej staranne.

Ciekawe, czy dziewczynki są do siebie podobne. Nie zachował się (a przynajmniej nie jest znany) żaden wizerunek Anny.

Gdy wiele, wiele lat później Andzia zejdzie ze statku w Ameryce, urzędnik emigracyjny w Nowym Jorku odnotuje w odpowiednich rubrykach: „Color of: hair – dark, eyes – blue”. Z opisów wiadomo, że Maria też miała niebieskie oczy. Ale jej włosy na zdjęciach wydają się bardziej „płowe”, jak u Władysława, który akurat – jako znany polityk – będzie fotografowany i opisywany wielokrotnie.

Rodzinna u Dulębów była zapewne postura. Dulębiankę zapamiętano jako wysoką i szczupłą (Konopnicka nazwie ją kiedyś z troską „chudziakiem”), Władysława także. W amerykańskich aktach odnotowano z kolei wzrost Anny: 5 stóp i 10 cali, czyli prawie 178 centymetrów.

Na wszystkich znanych zdjęciach dorosła Maria ma już krótkie włosy, ledwie sięgające ucha. Nie wiadomo, kiedy zdecydowała się na taką fryzurę.

Może całkiem wcześnie.

„Niepodobna wstrzymać się od przytoczenia jednego szczegółu z dzieciństwa Dulębianki: Oto w teatrzykach amatorskich wolała grać rolę chłopców, albowiem rola kobiet wydawała jej się poniżającą; np. w *Otelli*, który dusi Desdemonę. Rolę tej ofiary musiał brać chłopak, gdy innej aktorki nie było” – pisała Strzetelska-Grynbergowa.

#### „PENSYONAT PANIEN”

Dulębianka mogła mieć jakieś osiem, może dziewięć lat, gdy zaczęła naukę na pensji dla dziewcząt prowadzonej przez pannę Justynę Maliszewską.



„Wychowała ona kilka pokoleń uczennic, poświęcając się lat przeszło 40 zawodowi nauczycielskiemu. Wielkiej powagi i surowości, umiała jednak skarbić\* sobie zaufanie swych wychowanek, czego dowodem, że zachowywały one przez długie lata stosunki z swoją dawniejszą ochmistrzynią” – pisał w 1880 roku krakowski „Czas” w pośmiertnym wspomnieniu o przełożonej.

To wersja oficjalna, ale dziewczęta były chyba podobnego zdania. „Mając lat wtenczas 14, byłam oddana na pensję panny Maliszewskiej. Byłam nadzwyczaj kontenta, gdyż to jest osoba każąca się kochać, posiadająca wiele talentów i sposobów zjednywania sobie panienek, tak że wszystkie uważają ją za matkę” – zapisała w pamiętniku Oktawia Louis, należąca do pierwszego pokolenia uczennic. Wcześniejsza pensja mniej przypadła jej do gustu, miała więc pewne porównanie.

Jak odnotował Jan Hulewicz, w tym czasie w Krakowie działało dziewięć pensji prywatnych i dwie klasztorne. Dobra opinia o przełożonej to ważki argument, a dodatkowym atutem była lokalizacja. W sierpniu 1871 roku Maliszewska reklamowała „Pensyonat Panien” w dzienniku „Kraj”, podając swój adres: tuż obok kościoła Mariackiego. Mieszkając tak blisko, Maria mogła należeć do uczennic przychodnich, czyli przychodzących codziennie na lekcje. Większość dziewcząt mieszkała zazwyczaj w internacie.

Na pensję trafiają uczennice raczej zamożne, pochodzenia szlacheckiego, rzadziej mieszczańki czy córki urzędników. Poziom nauki jest różny, problemem jest brak instytucji kształcących przyszłe nauczycielki. Pensją kieruje ochmistrzyni, nad dziewczętami czuwają guwernantki, ale najważniejsze lekcje często prowadzą wykładowcy ze szkół męskich.

W Galicji dopiero rozpoczyna się szersza dyskusja nad edukacją kobiet, zbyt powierzchowną i przypadkową. Już lepiej dzieje się w Warszawie, mimo dotkliwej rusyfikacji. W zaborze rosyjskim wykształcenie przyszyłych obywateli to sprawa rangi narodowej. O równym dostępie do wykształcenia debatują tam na łamach prasy

\* Skarbić – zaskarbić, zjednać.

pozytywiści – i pozytywistki, którym szlak przetarły Narcyza Żmichowska i zgromadzony wokół niej krąg entuzjastek.

Czy kobieta powinna się uczyć? Konserwatyści uważają, że nie leży to w społecznym – czyli, nie oszukujmy się, męskim – interesie. Obowiązki kobiety wpisują w odwieczny ład wszechświata i boskiej harmonii.

„Powołaniem kobiety jest w pierwszym rzędzie być żoną, matką, gospodynią. Powołanie to, zaiste, piękne i szlachetne. Jako towarzyszka życia mężczyzny uprzyjemniać mu ma kobieta to życie, wspierać w ciężkich chwilach, ułatwiać spełnienie zadania wobec rodziny, ojczyzny i społeczeństwa” – pisał jeszcze w 1889 roku Mieczysław Baranowski, szanowany galicyjski dydaktyk. I to nie byle gdzie, bo w tygodniku „Szkola”, oficjalnym organie prasowym Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. Nie omieszkał też nastraszyć czytelników: „Jeśli przymiotów potrzebnych do swego posłannictwa [kobieta] nie posiada, może stać się złowrogim demonem, który wszystko niszczy i obala”.

Do najbardziej zatwardziałych przeciwników edukacji dziewcząt przemawia ewentualnie argument ekonomiczny. Coraz więcej kobiet musi na siebie zarabiać. Zauważa to nawet Baranowski, choć natychmiast zaznacza: „Dopuszczenie kobiet do wszelkich zawodów i zrównanie zupełne co do praw jest niemożliwe”. Nie chodzi o rozwój zainteresowań czy karierę. Kobieta może pracować, gdy przymusi ją do tego los – pozostanie niezamężna, zostanie wdową lub, w razie konieczności, będzie uzupełniała swoimi zarobkami domowy budżet.

Rolą pensji nie jest jednak przygotowanie dziewcząt do pracy zawodowej. Wspomnienia uczennicy jednej z lwowskich pensji nie pozostawiają złudzeń: „Celem było danie wychowania nie tylko dobrego, ale wytwornego, a zarazem pewnej ilości nauki, a raczej wykształcenia ogólnego, niezbędnego kobiecie mniej lub więcej niezależnej majątkowo i niemającej celu zarabiania samodzielnie na życie”.

W skrócie: wiele instytucji produkuje po prostu „ozdoby towarzystwa”. Często to rodzice naciskają, by więcej czasu poświęcić na przykład na lekcje muzyki – to się przyda wykwiintnej pannie na wydaniu, a potem eleganckiej pani domu. Ochmistryni musi brać takie sugestie

pod uwagę, bo groźba wypisania uczennicy ze szkoły to zapowiedź kłopotów finansowych.

Czego uczy się Dulębianka? Na pewno francuskiego i niemieckiego, co przyda się jej już w niedalekiej przyszłości.

Oprócz tego w programie są zapewne literatura polska i religia, trochę kaligrafii i rysunku, podstawy arytmetyki, odrobina historii i geografii, mało nauk przyrodniczych, dużo robót ręcznych. W jakich dokładnie proporcjach – to już zależy od kierowniczkę pensji.

Panna Maliszewska należy akurat do przełożonych o szerokich horyzontach. Po śmierci wspomniano jej „liczne stosunki z ludźmi nauki”, w tym kontakty z filozofem i historykiem sztuki Józefem Kremerem i poetą Wincentym Polem. Jeśli na pensji realizuje się taki sam program nauczania jak w szkołach publicznych – dostępnych jedynie dla chłopców – austriackie ministerstwo może zezwolić na wystawianie dziewczętom równorzędnych świadectw. Dla absolwentek myślących o dalszej edukacji ma to kluczowe znaczenie.

Kto wie, może pensja jest tak nowoczesna, że uczennice panny Maliszewskiej robią nawet przysiady albo skręty tułowia. Pedagodzy dostrzegają już, jak istotne w rozwoju dzieci są gimnastyka i ruch na świeżym powietrzu. Konopnicka zanotuje, że Dulębianka „straszenie za sportem przepada”. Gdzieś musiała polubić wysiłek fizyczny.

Czy kogoś zaskoczy, że niektórzy w pensjonarkach grających w piłkę widzą zagrożenie? „Gimnastyka jest powszechnie dzisiaj poszukiwaną i zalecaną dla płci obojej. Matki atoli niemało sprzeciwiają się gimnastyce jako nieprzyzwoitej dla dziewcząt. I mają rację. Paniąki nasze nie potrzebują być baletniczkami i linoskoczkami. Wszakże bez gimnastyki prababkom naszym zdrowie służyło. Praca ręczna, zachód\* gospodarczy, oto najlepsza gimnastyka dla naszych paniątek” – w 1860 roku perorował na łamach konserwatywnego czasopisma „Niewiasta” historyk Józef Szujski.

Jeśli natomiast w programie pensji uwzględniono zajęcia poświęcone obowiązkowi domowemu – co się nierzadko zdarzało, w końcu

\* Zachód – trud, staranie, fatyga.

panny miały się przygotowywać do roli żon i matek – Dulębianka chyba na nich nie uważa. Gdy zamieszka z Konopnicą, obiady zawsze będzie gotowała poetka. A kiedy Maria spróbuje pomóc w kuchni, efekty będą różne.

„Ja tu kupiłam funt mąki, funt smalcu, parę jajek i pożyczwszy wałkę, stolnicy i rondla od Frau Schmit, która mi usługuje, zrobiłam chruścik przy pomocy Pietrka” – napisze Konopnicza w jednym z listów do dzieci. Jest marzec 1892 roku, wspólnie z Dulębianką – którą zaczyna nazywać w tym czasie Pietrkiem – świętuje w Zurychu tłusty czwartek. „Ogromną sensację wywołał chruścik, który się ślicznie zdarzył, ale po wielkich mozołach. Pietrek bowiem przywałkował ciasto do stolnicy, nie podsypawszy mąki, i trzeba było nożem zeszkrobywać i na nowo zagniatać; później zaś powykrawał takie malutkie jak mały palec i znów trzeba było przerabiać. Koniec końców ogromnie się wszystkim podobał ów chruścik”.

Maria nadrabia na lekcjach muzyki i rysunku.

#### „NIEWŁAŚCIWE SKRZYPCE”

Przyjaciele i znajomi Dulębianki wspominali, że była doskonałą skrzypaczką. Na pensji ćwiczyła raczej na fortepianie, gry na skrzypcach ucząc się zapewne na osobnych lekcjach.

Wybrała nieoczywisty instrument.

W tradycji muzycznej skrzypce przez wieki uważane były za bardziej „męskie” i nieodpowiednie dla kobiet. Panowało przekonanie, że panna siedząca przy fortepianie czy harfie jest elegancka i urocza, gdy tymczasem skrzypaczka brzydko schyla podbródek i gwałtownie macha ręką.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku podejście już się zmienia, ale to powolny proces. Choć niektóre skrzypaczki – jak słynna Wilhelmine (Wilma) Neruda – zyskują szerokie uznanie i międzynarodowy rozgłos, wielu recenzentów ma z kobietami grającymi na skrzypach widoczny problem.

Na przykład ten anonimowy dziennikarz krakowskiego „Wieku”. W 1864 roku pisze wprost, że występująca z gościnnym koncertem

węgierska skrzypaczka Charlotte Deckner „dowodła, że z siłą i wdziękiem umie włądać instrumentem, którego wyłącznie przeznaczeniem zdaje się być: pozostawać zawsze w ręku mężczyzny. Jakoż sama siła fizyczna, której gra na skrzypcach wymaga, konieczna sztywność i mniej wdzięczne położenie głowy i twarzy, wreszcie szerokie i śmiałe ruchy ręki włądającej smyczkiem, tak zwykle niezgodne z naturą i ułożeniem kobiecym, są to trudności, które pozostaną do zwalczenia kobiecie przy grze na skrzypcach, oprócz trudności zwykłych, jakie i każdy mężczyzna pokonywać musi”.

Mężczyzna może więc po prostu grać, kobieta musi grać i równocześnie wyglądać wdzięcznie. Muzyka zostaje podporządkowana męskiemu spojrzeniu.

Taka opinia nie należy do odosobnionych. „Jakkolwiek dziwnym zawsze wydawał się nam w ręku kobiety ten instrument, który koniecznie wymaga pewności i siły w każdym niemal pociągnięciu smyczkiem, przyznać atoli musimy, że i młoda koncertantka wprawnie włądać nim umie” – to już fragment „Kuriera Warszawskiego” z 1867 roku.

Jeszcze dziesięć lat później recenzent „Gazety Narodowej” stwierdza bez skrępowania: „Kobieta grająca na skrzypcach jest dotychczas i pozostanie anomalią”.

Dulębianka miała tego pełną świadomość. W 1902 roku w odczycie *O twórczości kobiet* skrzypce posłużą jej jako jeden z przykładów nierównych szans na polu artystycznym: „kiedy już uprawianie muzyki staje się dla kobiety dozwolone, niedozwolone jej jeszcze długo pozostają różne instrumenta muzyczne. Właściwą dla niej jest harfa, potem jeszcze fortepian, natomiast wcale niewłaściwe skrzypce lub, zachowaj Boże – wiolonczela. Wiolonczela dopiero w najnowszych czasach, i to o tyle o ile, uznaną została za instrument, na którym przystoi grać kobiecie. Nie tak też dawne to czasy, jak sławna wiolinistka [Gertrud-Elisabeth] Mara, przybywszy na dwór angielski, musiała porzucić grę na skrzypcach, jako nieprzystojną dla kobiety, i skrzypce zamienić na harfę”.

W przyszłości Dulębianka sportretuje się w ten sposób: krótkie włosy, kokarda pod szyją, skupiony wyraz twarzy, binokle na nosie,



Maria Dulębianka, *Autoportret ze skrzypcami*, ok. 1888

w prawej ręce skrzypce, w lewej – smyczek. To zapis muzycznych zainteresowań czy deklaracja: robię, co chcę?

„KORZYSTAĆ Z RAD MATEJKI”

Nauka rysunku to natomiast zajęcie polecane dla młodych panienek.

Czy talent uczennicy pierwsza zauważa Maliszewska? Interesowała się sztuką, należała do Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Może na ścianach pensji wisały grafiki, które członkowie otrzymywali w ramach dorocznej premii, a Maria, nudząc się na lekcji, zawieszała wzrok na reprodukcjach obrazów Simmlera, Brandta lub Kossaka.

„Była wychowanką pensji Pani Maliszewskiej. Tu rozpoczęła swe studia malarskie pod kierunkiem Jana Matejki” – stwierdzi w 1929 roku Maria Jaworska, lwowska nauczycielka i działaczka, a w dwudziestoleciu międzywojennym posłanka i autorka króciutkiej biografii Dulębianki.

To ona uporządkuje życiorys Marii i opíše kilka nieznanych wcześniej faktów z jej życia, na przykład o krakowskiej pensji czy o edukacji w Wiedniu. Dane te uzyska zapewne bezpośrednio od rodziny. W papierach po Dulębiance, dziś należących do zbiorów Lwowskiej Narodowej Biblioteki im. Wasyla Stefanyka, zachowała się wizytówka Władysława Dulęby z krótkim biogramem siostry zanotowanym na rewersie. We wstępie do biografii Jaworska podziękuje zaś za pomoc jego żonie.

Niektóre informacje są dziś jednak trudne do zweryfikowania, inne robią wrażenie zapamiętanych niedokładnie. Tak jest i w przypadku Matejki.

Intrygująca sprawa.

Matejko w 1873 roku zostanie dyrektorem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych (dzisiejszej Akademii). Wykształci duże grono uczniów, którzy różnie będą oceniali jego zdolności pedagogiczne. Maurycy Gottlieb zachwyci się mistrzem malarstwa historycznego. Jacek Malczewski, szukając własnej drogi, zbuntuje się wobec zbyt silnej osobowości artystycznej nauczyciela. Kobiety nie mają jednak wstępu na uczelnię.

Przez kilkanaście lat Matejko będzie kierował wydziałem artystycznym Wyższych Kursów dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego, które działają przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym. Ale stanowisko obejmie dopiero w 1875 roku, gdy Dulębianka wyprowadzi się już z Krakowa.

Do roku 1896 Maria będzie natomiast opisywana w gazetach wyłącznie jako uczennica warszawskiego artysty Wojciecha Gersona i studentka paryskiej Académie Julian. Skąd się więc wzięła ta historia z Matejką i co właściwie oznacza?

Trop pierwszy: artykuł Dulębianki.

W 1895 roku Maria zaapeluje na łamach feministycznego czasopisma „Ster” o dopuszczenie Polek do studiów artystycznych w Krakowie. „Nie widzę powodu, dla którego wstęp miałby nam być odmówiony. Przed kilku laty sama podejmowałam takie usiłowania, lecz otrzymałam od Matejki odpowiedź: »Ja już i sił, i czasu ku temu mam za mało«” – napisze wówczas.

Matejko zmarł w 1893 roku, do końca życia piastował stanowisko dyrektora. Dulębianka musiałaby z nim rozmawiać niedługo przedtem, a nie około roku 1870, kiedy uczyła się na pensji.

Trop drugi: list Konopnickiej.

W 1896 roku władze krakowskiej uczelni zaczęły poważnie dyskutować o przyjmowaniu studentek. Konopnicka postanowiła polecić Julianowi Fałatowi, nowemu dyrektorowi Szkoły, idealną kierowniczkę planowanego oddziału żeńskiego: Marię Dulębiankę. W liście podkreśli „niepospolity talent, na który już Matejko swego czasu zwrócił uwagę, korygując prace Dulębianki przed jej wyjazdem jeszcze do Paryża”. Musiała usłyszeć tę historię od samej artystki.

Rozwiązanie zagadki kryje się chyba właśnie w słowach Konopnickiej. Dulębianka konsultowała z Matejką swoje obrazy „przed jej wyjazdem jeszcze do Paryża”, a więc około 1884 roku. Nie byłyby to więc lekcje rysunku dawane pensjonarce, ale rady mistrza udzielone młodej artystce.

Trop trzeci: pamiętnik Bilińskiej.

Malarka Anna Bilińska pozna Dulębiankę podczas nauki w Warszawie, potem przetrze jej szlaki w Paryżu. Odwiedzając Kraków w 1882 roku, tuż przed podjęciem decyzji o wyjeździe do Francji, zanotuje: „Wuj G... mówi mi, że mogę korzystać z rad Matejki, lecz w Akademii nie ma miejsca – musiałabym tedy mieć pracownię własną. Korzystać z rad Matejki! Czy tylko jestem dostatecznie przygotowana na to”. Ostatecznie Bilińska wybierze jednak szkołę w Paryżu.

Może podobna sytuacja spotkała Dulębiankę? Konopnicka dodawała w liście do Fałata – zapewne dla większego dramatyzmu – że Matejko docenił Marię, choć „nigdy nic nie chciał wiedzieć o kobiecych



malarskich pracach”. Jak wynika z zapisków Bilińskiej, nie była to do końca prawda. Wiadomo także, że Matejkę bardzo cieszyły zdolności artystyczne własnej córki Heleny i od początku zachęcał ją do dalszych ćwiczeń. Widocznie nie zamierzał reformować akademii, ale był gotów pracować z malarkami poza murami uczelni.

Trop czwarty: hasło Gersona.

Kto w 1896 roku otworzył kolejny tom *Wielkiej encyklopedii powszechnej ilustrowanej*, która ukazywała się w Warszawie pod redakcją Szymona Askenazego, pod literą D znalazł dwoje przedstawicieli rodziny Dulębów: malarkę Marię i pianistę Józefa. Biogram Dulębianki informował, że „uczyła się w Warszawie u profesora Gersona, następnie w Krakowie, gdzie korzystała z rad Matejki, była w Paryżu [...]”. Wszystko pasuje. A hasło napisał sam Wojciech Gerson.

Prawdopodobny scenariusz wyglądałby więc tak: Maria uczy się rysunku na pensji i – być może – na dodatkowych lekcjach u nieznanego nauczyciela. Matejce pokazuje swoje prace dużo później, mając już za sobą szkoły w Wiedniu i Warszawie. Niewykluczone, że tak jak Bilińska zastanawia się wtedy nad wyjazdem do Paryża. Gdy jednak pyta Matejkę o możliwość przyjęcia w poczet studentów, ten odmawia.

\* W ŁÓŻKU Z PRZYJACIÓŁKĄ \*

„Czym był dla biografów [...] ten epizod? Ot, egzaltowaną przyjaźnią między pannami, czymś niewartym uwagi. Ale czyż dziw, że nam, wychowanym w epoce Freuda i Prousta, przedstawiają się te sprawy cokolwiek inaczej, że nas musi zastanawiać środowisko dające ten kierunek egzaltacji uczuć? Te klany namiętnych przyjaźni kobiecych, te męskie typy kobiet, te dobrowolne [...] rezygnacje z małżeństwa, nastęrczają pytania, które dawniej wydawałyby się bluźnierstwem” – pisał w latach dwudziestych Tadeusz Boy-Żeleński o Narcyzie Żmichowskiej i otaczającym ją wianuszku przyjaciółek, z Pauliną Zbyszewską na czele. I dodawał: „Mąż jednej z entuzjastek, dobry »Hipa« Skimborowicz, mawiał filozoficznie do żony: »Bo wy się w swoich przyjaciółkach wykochacie, to wam już dla mężów miłości brakuje«”.

Dla „wychowanych w epoce Freuda” kobiece przyjaźnie nie były już tak niewinne, a pocziwe powiedzonko Skimborowicza nabierało dosłownego wymiaru. W lutym 1924 roku, zaledwie kilka miesięcy przed opublikowaniem listu Laury Pytlińskiej o wspólnym grobie Dulębianki i Konopnickiej, Warszawa plotkowała o procesie Zofii Sadowskiej. Lekarka oskarżyła o oszczerstwo prasę brukową, która rozpisywała się między innymi o rzekomym uwodzeniu przez nią pacjentek i organizowaniu lesbijskich orgii.

Zanim pojawiły się wyniki badań pierwszych seksuologów, zanim rozwinęła się psychoanaliza, kwestia ta była raczej płynna, nieco abstrakcyjna, trochę legendarna. Widać to nawet w tradycyjnym nazewnictwie. „Miłość saficka” nawiązywała do greckiej poetki Safony z wyspy

Lesbos. Nie stanowiła zagrożenia, bo w wersji platonicznej pasowała do stereotypowo kobiecej uczuciowości, a w wersji erotycznej... Cóż, dla wielu po prostu nie istniała.

W erze wiktoriańskiej moralności porządne kobiety postrzegano jako całkowicie wyzbyte pożądania i pasywne seksualnie. Co prawda we francuskiej literaturze pojawiały się skandalizujące wątki erotyczne, jak w *Pannie de Maupin* Gautiera czy *Dziewczynie o złotych oczach* Balzaka (obie z 1835 roku). Wiadomo było jednak, że androgeniczne, rozwiązłe bohaterki, które w chłopięcym stroju uwodzą inne kobiety, należą do świata literackich – i męskich – fantazji.

W prawdziwym świecie niektórzy podważali nawet możliwość zaistnienia erotycznej relacji między dwiema biernymi naturami. Amerykańska historyczka Lillian Faderman przeanalizowała akta postępowania sądowego, które przeprowadzono w 1811 roku w Szkocji. Dwie panny prowadzące pod Edynburgiem pensję dla zamożnych dziewcząt wytoczyły proces o oszczerstwo, gdy zostały oskarżone przez jedną z uczennic o romans. Nocą budziły ją szept, westchnienia i różne sugestywne efekty, takie jak „trzęsące się łóżko”. Nie miała wątpliwości, co widziała i słyszała, bo pensjonarki i przełożone dzieliły sypialnię.

Podczas procesu adwokat przekonywał, że jest wprost niemożliwe, aby dwie Szkotki – i to damy, chrześcijanki o nieposzlakowanej opinii, żadne podejrzane aktorki czy zepsute prostytutki – mogły robić w łóżku coś nieprzyzwoitego. Obrona odwoływała się do dzieł historycznych, takich jak *Rozmowy heter* starożytnego satyryka Lukiana, by dowieść, że seks między kobietami w ogóle istnieje. Sąd orzekł, że to nieprawdopodobna historia. A dwie panny są po prostu bardzo oddanymi przyjaciółkami. Bardzo.

Tok rozumowania był prosty: jeśli w łóżku nie było mężczyzny – nic nie zaszło. Sędzia oznajmił, że „zgodnie ze zwyczajami kobiet w tym kraju, nie ma w tym żadnej nieprzyzwoitości, gdy jedna kobieta idzie do łóżka z drugą”.

Co innego, gdyby w łóżku przyłapano dwóch dżentelmenów. W tym samym czasie brytyjskie sądy skazywały homoseksualnych mężczyzn

na więzienie, a nawet śmierć. Nikt nie wątpił w ich popęd seksualny i cel nocnych schadzek.

Przez większość dziewiętnastego wieku, szczególnie w pierwszej połowie stulecia, romantyczna przyjaźń między kobietami mogła się rozwijać bez przeszkód. Damy wymieniały tkliwe listy, wyznania miłosne, tajemnice, pocałunki i uściski – jak Żmichowska i jej entuzjastki („Całuję białe, giętkie, cienkie paluszki twoich obydwóch rączek; całuję podeszewki rozzutych nówek twoich”), jak amerykańska poetka Emily Dickinson i jej bratowa Susan Gilbert.

Bez wątpienia bywały to relacje romantyczne – w rozumieniu temperatury uczuć, obustronnej czułości i siły przywiązania. Czy przyjaciółki stawały się także kochankami? Zazwyczaj trudno oddzielić realne wyznania od tych wszystkich retorycznych zapewnień o hołdzie i czci dla drogich osób. O ile nie trafimy na drugą Anne Lister (nazywaną Gentleman Jack), która w zaszyfrowanych pamiętnikach opisała swoje miłosne podboje, to nie sposób tego potwierdzić. Zdaje się, że najczęściej kobiece pary przekraczały swoim zachowaniem zwykłe dowody przyjaźni, ale nie granice wiktoriańskiej przyzwoitości.

W towarzystwie przyjaciółek kobiety odnajdowały wszystko, czego nie oferowali im mężowie (a przynajmniej wielu z nich): życzliwą uwagę, pełne zrozumienie, wspólne tematy i podobne rozrywki intelektualne. Wiele dziewcząt nawiązywało takie relacje jeszcze przed ślubem. Bliski kontakt między pannami uważano za całkowicie naturalny i właściwy moralnie, gdy tymczasem możliwości kontaktu z mężczyznami pozostawały mocno ograniczone. Sentymentalna przyjaźń mogła bez przeszkód rozkwitać choćby na pensjach.

Boy-Żeleński widział w tym „rodzaj *matriarchatu*, a raczej amazoństwa: ster duchowy przechodzi w ręce kobiet, koło nich grupuje się wszystko, co zostało lepszego. Zarazem kobiety [...] zaczynają się niechętnie odnosić do małżeństwa; niejedna woli raczej się go wyrzec niż zniżyć się do kompromisu. »Bianeczko, nie skazuj jej na zamążpójście« – pisze Narcyza gdzieś w liście do serdecznej przyjaciółki, Bibianny Moraczewskiej. Ale nawet te, które wyjdą za mąż, patrzą na swoich »zjadaczy chleba« z odcieniem politowania, szukając gdzie

indziej doskonałej spójni duchowej. Zadzierzgają się egzaltowane, czasem namiętne przyjaźnie między kobietami. »Posiestrzenie« – wedle wyrażenia Żmichowskiej – uważane jest za najdoskonalszy objaw uczuć”.

Zarówno romantyczna przyjaźń (jak nazywa te relacje Faderman), jak i „posiestrzenie” (jeśli zostaniemy przy określeniu Żmichowskiej) mieszczą się w ciasnych ramach konwenansów. Zasadniczo nie stanowią społecznego zagrożenia, nie podważają panujących norm. „Damy z Llangollen”, które na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku zamieszkają razem w Walii, należą do ekscentrycznych ciekawostek. Zadurzone w koleżankach panny i tak w większości staną na ślubnym kobiercu.

Ale to też się zmienia.